

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 28 Stycznia 1900.

Kieliszek wódki.

Lwów 27 stycznia.

Ciekawych doświadczeń dokonał w Ameryce profesor Atwater. Chodziło mu mianowicie o to, co już od wielu lat wielu uczonych bada tj. o kwestyę, czy alkohol w małych dawkach jest szkodliwym.

Ze upijaniem się szkodzi zdrowiu, na to się nawet Moskale godzą, ale żeby kielisek wódki przed obiadem i wieczorem miał komu jaką szkodę przynieść, w to nie wierzy dotąd żaden prawy Galicyanin.

Otóż prof. Atwater badał tę kwestyę i to badał ją tak, że rezultaty, do jakich doszedł będą miały prawdopodobnie niemałe znaczenie nie tylko dla alkoholizmu, ale i dla całego procesu żywienia się człowieka.

Doświadczenia czynił Atwater na ludziach, których na kilka dni, tj. od 4 do 12 zamykał w osobnym pokoju i nieustannie obserwował.

Dawał tym swoim okazom doświadczalnym coraz inną żywność i zostawiał jednych w spokoju, innym zaś kazał ciężko pracować rękoma albo mózgiem.

Oprócz tego zbudował Atwater przyrząd, który mierzy stopniami wpływ rozmaitego rodzaju pokarmu na ciało ludzkie, wpływ różnego rodzaju zajęcia i ciepłotę organizmu ludzkiego w tych warunkach. Mierzył tedy Atwater to co, obojczy można nazwać energią życiową danego osobnika, przed doświadczeniem, w ciągu doświadczenia i po niem.

Tak sprawdzał Atwater jaka ilość zwykłego pokarmu tj. mięsa, chleba, ziemniaków i kawy potrzebna jest organizmowi, aby w spokoju mógł wytrzymać, a następnie, o ile się musi zmienić pokarm, aby ten sam organizm mógł wykonać już to cięższą już też cięższą pracę.

Profesor badał, ważył i analizował nie tylko każdą kroplę płynu wypitą i strawioną przez obserwowanego przez się człowieka, nie tylko każdy gram chleba i ziemniaków, ale nawet powietrze które objął jego doświadczeń wdychała i wydechała.

Dalej badał profesor swoim aparatem, ile energii obserwowany organizm zużył na wykonanie danej pracy, ile pokarmu poszło na wytworzenie ciepła w ciele a ile wreszcie poszło na wytworzenie potu i innych wydzielin.

Wszystkie te badania przeprowadził z niesłychaną dokładnością i ścisłością i sprawdził z niewiedzią jeszcze drobniuszkością, ile człowiek musi zjeść i wypić aby nie tylko żyć, ale i pracować.

Później przeprowadził Atwater te same doświadczenia z dodatkiem nowego czynnika, a mianowicie alkoholu.

Zmniejszał w tym celu rację z cukru, mąki i tłuszczu a podawał natomiast pacjentowi tyle alkoholu, aby chemicznie jedno z drugim się równoważyło.

Dawał w ten sposób na dzień na głowę 0-71 decylitrów czystego alkoholu tj. tyle ile go zawiera butelka wina reńskiego, albo trzy średniej wielkości kieliszki wódki. Pacjenci polykali alkohol w sześciu równych dawkach w przerwach pomiędzy jednym jedzeniem a drugim. Ilość alkoholu równała się jednej piątej części tego, co zawierał w sobie całodzienny pokarm, a u pacjentów, pracujących reżownie, jedną siódma.

Otóż obserwacja doprowadziła Atwatera do następującego rezultatu: organizm ludzki mikroskopijnie małą tylko oszczędność pochłaniającego przez się alkoholu wydziela z siebie w stanie niezmienionym przez wydechanie lub inaczej, a cała reszta oksydjuje się w ciele tj. spala się tak dokładnie, jak chleb, mięso albo inny pokarm. Podczas spalania się alkoholu w organizmie, energia jego przemienia się w ciepło ciała albo w energię mięskulów, czyli innymi słowy ciało ludzkie taki sam użytek robi z alkoholu jak z cukru, mąki i tłuszczu. Alkohol wreszcie równie dobrze chroni organizm ludzki przed zużyciem się jak odpowiednia ilość cukru, mąki i tłuszczu.

A zatem człowiek czy to w spoczynku, czy też podczas pracy równie dobrze się czuje czy pije alkohol, czy też odpowiednią mu dawkę pokarmu zwykłego spożywa.

Atwater później zmienił czysty alkohol na wódkę i wino i powtórzył mnóstwo razy swoje doświadczenia, a przecież do tego samego dochodził zawsze rezultatu, zgodnego zresztą z powszechnie u nas panującym zapatrywaniem, że umiarkowane picie alkoholu na zdolność ludzką do pracy czy to fizycznej czy umysłowej nie wywiera wpływu.

Mimo to nie jest jeszcze spór między zwolennikami a wrogami alkoholu zakończonym. Być może, że alkohol dał nam odczłowiekowi taką samą sytość i energię do pracy jak rzetelny pokarm, ale fakt, że ten sam alkohol równocześnie szkodliwie działa na krążenie przerywanych soków w organizmie ludzkim i na nerwy, zdaje się być również niewątpliwym.

Śmierć Józefa Tardo.

Urodził się w małej chatce w Kordylje rach. W dwudziestym roku życia zaliczony został do garnizonu w Sant Jago. Już trzy miesiące pełnił służbę, jak i inni, a może nawet trochę lepiej, kiedy postawiono go na strażę przy więzieniu miejskim, właśnie w dniu, w którym wydarzył się ważny wypadek. Oto grono skazańców zamkniętych w pracowni, w której zajmowali się stolarstwem, powzięło suchawą myśl ucieczki. Pomimo baczego nadzoru straży, więźniowie postanowili wykopać podziemny kurytarz. Przez pięć miesięcy kopali podziemnie. Każdy po kolei wchodził w podziemny kurytarz, zabierał ziemię, ile mógł unieść i wysyłał ją na powierzchnię oddawał ją towarzyszyom, którzy starannie rozsykali piasek na prawo i na lewo. Pracę swą więźniowie ukończyli w sobotę i w niedzielę postanowili się wymanić. Był to właśnie dzień, w którym na strażę stał Józef Tardo.

Dziecko znajdowało się na wesołych w chwili, kiedy więźniowie dochodzili do końca kurytarza podziemnego długości kilkudziesięciu metrów.

Widząc wychodzących z pod ziemi ludzi o powierchowości podejrzanej, dziećmi zaczęło krzyżeć i uciekło z płaczem. To był sygnał do alarmu. Nadbiegli mieszkańcy, żołnierze garnizonu i rozpoczęło się polewanie. Schwymano prawie wszystkich sloczyńców. Zaledwie paru zdołało uciec.

Minister wojny wystosował surową nagana do generała komendującego garnizonem, ten zwrócił się z wymówkami do naczelnika więzienia, który z kolei pretensy skierował do kaprala a kapral grubiańskimi słowy obrzucił żołnierza, który stał na warcie za pracownią stolarską. Żołnierzem tym był Józef Tardo.

Młody żołnierz nie obciał słuchać niesłusznych obelg. Wszczęła się sprzeczka. W uniesieniu Józef Tardo uderzył w twarz przełożonego.

Nazajutrz stanął przed sądem wojennym i skazany został na śmierć. Zamknięto go niezwłocznie w celi wielkiego kwadratego gmachu, wnoszącego się za pięknym ogrodem Cousino, u stóp wysokiej góry. Zawiadomiono go o dniu śmierci dopiero wtedy, gdy celę zaczęto przemieniać w kaplicę żalobną, kiedy ksiądz Dominikanin zaczął odmawiać modlitwy za konających, przyjaciele przysłał mu posiłek, a biedna siostra przyszła w odwiedziny, ultrana zawczasu w żalobną suknię. Potem nastąpiła inna wizyta — stolarza, który przyszedł wziąć na trumnę miarę.

W podwórzu, na który wychodziły okna celi młodego żołnierza, umieszczono wypisaną dużymi literami sentencję: „ludzie, naucoicie się żyć, a potrafiacie umierać.”

Na tem podwórzu właśnie Józef Tardo miał ponieść karę za chwilę zapomnienia, którą przypłacił życiem.

Fatalny ranek nadszedł. Skutyskasaniec został obudzony przez ks. Dominikanina, który wesoło go do sąsiedniej celi, gdzie wystawiono ołtarz.

Józef Tardo, ubrany w bluzę żołnierską, z narzuconą na ramiona tuniką, postępował wolno, bo łańcuchy krępowały ruchy nóg. W rękę trzymał kępi. Jego kredowej bladej twarzy budziła głębokie współczucie w kilku świadkach tej sceny.

Dominikanin zaprowadził go przed ołtarz. Tam ukląkł i modlił się.

Przez ten czas oddziały wojsk zaczęły ścigać z różnych stron miasta, by urzędownie asystować przy egzekucyi.

W tłumie pojawił się człowiek z aparatem na trójnogu — to fotograf. Wybrał miejsce, z którego najlepiej będzie mógł zdjąć smutny widok i ustawił aparat.

Dał się słyszeć głos trąby, który oznajmił, iż pluton przeznaczony do egzekucyi wchodzi do więzienia.

Józef usłyszał go, gdyż pomimo rozstraznienia zdrzał i otarł łzy z oczów.

Wtedy adjutant zbliżył się do nieszczęśliwego, dotknął jego ramienia i oznajmił, iż straszna chwila nadeszła.

Józef Tardo podniósł się i ciężko poszedł w tę stronę dziedzińca, którą mu wskazano.

Przerazającą ciszę, panującą w tłumie, przerywał tylko brzęk kajdan.

Ten sam adjutant stanął przed skazanym i odczytał mu wyrok.

Jeden z żołnierzy obwiązał głowę Józefa wielką kolorową chustką.

Dominikanin wciąż odmawia litanię za umarłych, a fotograf kieruje aparatem ze zdenerwowaniem, łatwym do zrozumienia.

Gdy te smutne przygotowania ukończono, podniósł się oficer i zawałił: „Kto poprosi o łaskę dla tego człowieka, będzie niezwłocznie rozstrzelany.”

Taka jest formuła, którą obowiązkowo wygłaszają w Chili, gdzie zresztą zdają się nie sobie nie robić z cierpień ludzkich i wcale się nie spieszą z przygotowaniami do okropnego dramatu. Podczas gdy tłum oczekiwał na pluton, który jeszcze nie zjawił się na miejscu, ale prawdopodobnie był blisko, bo go słyszano, odwołano chustkę skazanemu dając mu tym sposobem poznać, iż może przemówić do towarzyszyów.

Biedak spełnił zadanie chętnie. Popatrzył na żołnierzy i rzekł: „Nie znieważajcie nigdy przełożonych, bądźcie zawsze dobrymi patriotami, kochajcie swój szlachetny zawód, a jeżeli macie kilka groszy w kieszeni, zróbcie składkę na moją biedną siostrę, która po mojej śmierci zostaje sama jedna na świecie.”

Po krótkiej przemowie, znów zawiązano mu oczy chustką. I Józef Tardo drży po raz drugi, — usłyszał miarowy odgłos kroków. To pluton egzekucyjny opuścił gmach więzienny i zbliża się.

Ksiądz usuwa się. Józef Tardo stara się patrzeć przez chustkę, lecz nie dojrzeć nie może. Wtedy nagłym ruchem odrzuca chustkę i podnosi dumnie głowę.

Dostrepa przed sobą czterech ludzi, którzy gotują się zabić go. Z tych czterech, tylko trzech będzie strzelał, czwarty bowiem przeznaczony jest, by wymierzył tak zwany „strzał łaski”. W Europie egzekucye wojskowych odbywają się rzadko, ale jeśli to robia, sprządzają co najmniej dwunastu żołnierzy — i śmierć jest niezawodna — ale ma ościernie!

Nikt się nie rusza. Serca w piersiach kołoszą. Dominikanin przestał śpiewać. Jedna istota spokojna — to skazany.

Na głos komendy żołnierze przykładają broń do ramienia.

Adjutant zniża szpada.

Padają trzy strzały. Skazany okrzęca się, pochyla, agina we dwoje; głowa jego uderza se stukiem o bruk — w widzach zgroza ścina krew.

Niestety — jeszcze żyje. Wije się z bólu w strasznych cierpieniach.

Czwarty żołnierz otrzymuje rozkaz, aby zbliżył się i strzelał, dotknąłwszy łufą głowy skazanego. Strzela. Pluton robi półobrót i odchodzi.

Tę samo czyni warta.

Aż oto skazany porusza się znów. — Zatrzymał! zatrzymał! — rozlegają się krzyki.

Zapłon, żołnierze odeszli. Adjutant szpada skracca męki skazańca.

Teraz już koniec naprawdy. Tłm się zbliża i sprząda zgon. Nadchodzi oficer — błady ze wzruszenia, to bohater z wojny peruwiańskiej.

W strasznych walkach zaglądał w oczy śmierci, pi rś nadstawiał, sam zabijał — teraz drży. Dzielny żołnierz ma zawsze oszłą duszę. Józef Tardo ducha wyzionął około godz. 8 rano. O święcie doręczono siostrze jego list, pisany zeszłego dnia. Brzmiał on:

„Wybacz mi, droga siostrko boleś, którą ci sprawi moja śmierć. Kocham kraj mój, boli mnie też, że mam zasłużyć odeń na karę najstraszniejszą. Ostatnią myśl moją poświęcę tobie i ziemi chilijskiej, za którą chciałem przelać krew moją, ale w inny sposób. Nie podpisałem próby o łaskę, bo uważam to za niegodne żołnierza. W imię prawa wszyscy rodacy przeklinać będą pamięć moją, ale najwyższą pociechą było y dla mnie w godzinie śmierci, gdybyś ty z żalem i błogosławieństwem wymówiła imię biednego brata twego.”

Zalana łzami nieszczęśliwa siostra, za-

niosła list ten do ministra wojny — on jeden mógł wstrzymać egzekucję! Ale do ministra nie można było dostać się zaraz — czekała długo.

Wziął list, przeczytał go uważnie i rzekł: — Biedny Józef był, szkoda!

Pobiegł do biurka, nakreślił słów kilka na arkuszu, przyłożył pieczęć i wręczył dziełczyźnie.

— Biegnij pani szybko do więzienia. Oto ulaskawienie brata.

Nieszczęsną pędziła przez ulice San Jago niby waryatka. Przebiegła około straży, która ją zatrzymała chciała. Wpadła na dziedzińiec więzienny i — zastała tłum otaczający trup brata.

— Stójcie, czekajcie, oto ulaskawienie — wołała głosem przeszywającym.

Za całą odpowiedź Dominikanin machnął ręką.

Zrozumiała. Przedostała się przez tłum i rzuciła się na kolana przed bratem.

Po chwili z podwórza więziennego wyniesiono dwa trupy, umyto podłogę i ludzie się rozeszli.

Swiadek.

ROZMAITOSCI.

Awatura ze słoniem. W tak zwanym pałacu kryształowym w Londynie pokazywano od sześciu miesięcy słoniu. Znudziły mu się jednak te wizyty gapiającej się nań gawiedzi, gdyż pewnego pięknego poranku wyszedł z klatki, lekkim naciskiem swego olbrzymiego ciała wylamawszy kraty u wyjścia. Dokonawszy tak bohaterkiego dzieła, powolnym krokiem wyszedł na ulicę i spacerem doszedł aż do Catford-Hillu. Znalazłszy się na tej dość zresztą wąskiej uliczce, ułożył się wygodnie na ziemi i widocznie podobalo mu się to miejsce, gdyż ani myślał o tem, aby je opuścić. Wkrótce liczna gawiedź zaczęła się koło niego gromadzić, korzystając z bezpłatnego widowiska. Doszło do tego, iż policya musiała tam wysłać specjalny posterunek, aby dopilnować porządku.

Tymczasem nadojrzali dozorczy wraz ze sznurami powrozami i batami. Wszystkie ich usiłowania sprowadzenia „Cagera” nie pomagały, sznurzy i powrozy się rwały, bity świstały w powietrzu, a uparty „Cager” leżał wciąż nieporuszony. W końcu sprzykrzyło mu się wszystko i począł drzemać.

Ruch komunikacyjny na całym Catford-Hillu wstrzymał. Taki stan rzeczy trwał do wieczora. Ciemność zalegała miasto, a „Cager” spoczywał nieporuszony. Po obu stronach ulicy ustawiono policyantów z pochodniami, aby czuwać nad słoniem. Następnego dnia wieść o słoniu rozbiegła się lotem błyskawicy po całym Londynie. Tłumy zaczęły płynąć ku Catford Hillowi. „Cager” przeciągał się wygodnie na kamiennym bruku i rozglądał się po tysiącach twarzy, które się wokół niego gromadziły.

Posterunki policyantów na obu końcach ulicy okazały się za słabe. Ustawiono po jednym oddziale policyi konnej, która wciąż wypierała tłoczącą się natarczywie gawiedź. Taki stan trwał aż do popołudnia. W końcu jeden z dozorców chwycił się podstępny. Zbliżył się do zylondniałego „Cagera” z koszykiem przetrzymanym przysmaków. Słonisko wzwyżło podawane smakolki. Chwilę się wahał, kreślił trąbą na wszystkie strony za umykającym koszykiem, aż wreszcie sprzykrzyło mu się ta rola Tantara. Powstał z godnością i począł iść za obiecującym koszykiem.

Tak doszedł aż do klatki, ponieważ jednak niegodziwy koszyk poszedł do jej wnętrza „Cager” znów się zawahał. Zapach napelnionego pomarańczami i słodyczami koszyka zbyt niegł, a „Cager” nie znalazł dość siły do oparcia się pokusie. Westchnął więc żalownie raz jeszcze, poczem z rezygnacją wszedł do klatki, której odrazw zatrzasnęły się za nim natychmiast.

Tak się skończyła awantura z olbrzymim słoniem z „pałacu kryształowego” w Londynie.

Igrzyska olimpijskie w r. 1900. Od r. 1894, to jest od czasu zwonienia „gier olimpijskich” w Atenach, istnieje komitet międzynarodowy, który zajmuje się urządzaniem międzynarodowych zawodów sportowych we wszystkich miejscach, gdzie wybitny napływ przybyszów oboych poplisa tego rodzaju rakuje powodzenie. Holandia w tym komitecie reprezentowana jest przez barona Tuylla, Włochy przez hr. Brunetta d'Usseaux, Niemcy przez dr. Gebhardta, Stany Zjednoczone Ameryki północnej przez prof. Sloana, Szwecya przez majra Balcka, Anglia przez lorda Amphilla. Komitet udźwodziwał, iż międzynarodowe „gry olimpijskie” odbędą się w r. b. w Paryżu w czasie wystawy, o czem prezes komitetu, baron Piotr de Coubertin, w następującym okólniku zawiadomił członków komitetu stalego:

„Organizacja „gier olimpijskich” w r. 1900 podobna będzie do organizacyi tych gier z r. 1896 w Atenach. Określenie ostatecznej formy tych zawodów spóźnie się nieco

wobec tego, iż wahało się z wyborem inicyatywy: nie wiadano, jaki jej nadad chaj rakter, rządowy czy prywatny. Ostatecznie postanowiono, iż komisarze państw sągranicznych, urzędowo reprezentujący swoje kraje na wystawie, rozysłać będą zaproszenia do stowarzyszeń swoich krajów.

W niektórych dziedzinach ówczesny fizyczny będą dopuszczeni i profesjonalisci, czynności ich jednak przestają być zupełnie odosobnione od funkcji amatorów, oddających się sportowi z zamiłowaniem. Po naszkicowaniu główniejszych punktów programu komitet międzynarodowy odda pieczęć nad terocorommi „grami” komitetowi francuskiemu, szanim to jednak nastąpi, komitet międzynarodowy wysła wszystkie stowarzyszenia sportowe do wzięcia udziału w zawodach, które mają wykazać stan dzielności i zdrowia młodzieży.”

O ile z dotychczasowych zapisów sądzić można, najbliższymi będą reprezentowane stowarzyszenia sportowe amerykańskie, potem angielskie, a po nich szwedzkie.

Przedstawiciel Szwecyi w komitecie międzynarodowym zawiadomił, iż niekto udziału Szwedów w grach olimpijskich w roku bieżącym zajmie się następcą tronu szwedzkiego.

„Gry olimpijskie” w Paryżu odbywać się będą w dniach 15, 17, 19 i 22 lipca. Daty te wybrano w przewidywaniu, iż niekto stowarzyszenia secho przedtem wzięły udział w „championatach” angielskich, zapowiedzianych na początek lipca.

Jednocześnie z „grami olimpijskimi” odbywać się będzie w Paryżu „kongres edukacyi fizycznej”. Rząd francuski zamianował świeżo komitet organizacyjny tego kongresu, na którego czele stoi dawny minister Leon Bourgeois.

Niemowięta we wszystkich niemal krajów witane są życzeniami szczęścia, które w tej pierwszej chwili ich życia mają być akuteczne. Nie wszędzie jednak te życzenia wyrażają się w formie jednakiej. I tak naprzykład w Anglii rodzice życzą dziecku — tyśiąca nieszczęść, w tem mniemaniu, że mu to właśnie szczęście sprowadzi, albowiem los jest przekorny i lubi pluć figle. Irlandki chronią swe dzieci od złego, opasując je kłobocem włosówami. Szkotki jako amulet kładą do kolebki nóg i parę szczyptów, Holendki wsuwają chleb, mięso, ośrodek i sól. W Bretanii kobiety kąpią noworodka i wyciągają mu stawy tak, by zatrzeszczały, potem namaszczają głowę oliwą i zwilżają usta wódką. Te obrzązki mają szczęście sprowadzać. Rumunki w tymże celu zawiązują pousową wstążeczkę u nogi niemowlecia. Turczynki nalewają mu na ośroło wó i ziemię. Greczynki biorą dziecko na ręce i kręją się przed kominem, zwołując pień na szczęście. Hiszpanki wreszcie muskają twarz malęgo hidalga osnową galaszką.

A. Dumas a wiera. Listpisany przez Aleksandra Dumasa (ojca) do Franciszka Sarcoya pod datą 14 grudnia 1870 r. sprzedawo w tym czasie za trzyzeta kilkadziesiąt franków. Ciekawy jest wyjątek z tego dokumentu: „Czy wieisz dlaczego pobili nas Prusacy, mimo poszczególnych faktów bohaterkiego poświęcenia się po stronie Francuzów — pyta Dumas. Oto dlatego, że oni wierzą jeszcze w osółkowiek, a my w nic już nie wierzymy. Skazaliśmy, znieślawiliśmy wszystkich od Homera do Goethego, od Heleny do Małgorzaty. Nie znamy Boga, któregośmy wygnali z pośród siebie, a którego przywrócić sobie Wilhelm na wyłączną przyswoił swoją. Jak on się tym Bogiem przechwala! Jak go napród wysuwa, gdy widzi tego potrzebę! W gruncie rzeczy — jak on owego Boga znieważa! Jak mu uraga! Bóg dziś karze nas, pozwalając nieprzyjaciolom brać górę nad nami, ale kiedyś nas z kolei użyje za narzędzie gniewu swego na Prusaków. Francya nie może długo obywać się bez Boga, a świat podobnie nie mógłby długo obchodzić się bez Francyi... Gdzie teraz szukać w Paryżu onotliwych kobiet Saragossy! Ani Boga, ani kobiet, ani rodziny! Bez rodziny nie ma ojczyzny — bez ojczyzny nie ma dzielnych ludzi.”

Nowe wykopaliska. Z Rzymu donoszą, że setki robotników pracują na Forum Romana nad rozbiórka malego kościoła Santa Maria Liberatrice, z którego ołtarze, obrazy i utensylia kościelne przeniesiono do klasztoru do Spechi. Rozbierny kościół należy do najdawniejszych zabytków starożytności i sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa. Przechowała się z czasów pogańskich legenda, że w miejscu tem miał przebywać smok, pożerający wielką liczbę mieszkańców Rzymu i że bronioz ziomków swoich, westalki schodziły 365 stóp w głąb ziemi dla nakarmienia żarłocznego potwora. Zarówno archeologiczne chrześcijańscy, mający nadzieję pod fundamentami kościoła znaleźć drogoceenne pamiątki religijne, jak i ościelnie rzymskiego klasycyzmu, spodziewają się zebrać bogate archeologiczne plony z wykopalisk, czynionych na miejscu, gdzie wznosiła się niegdyś świątynia Westy.

